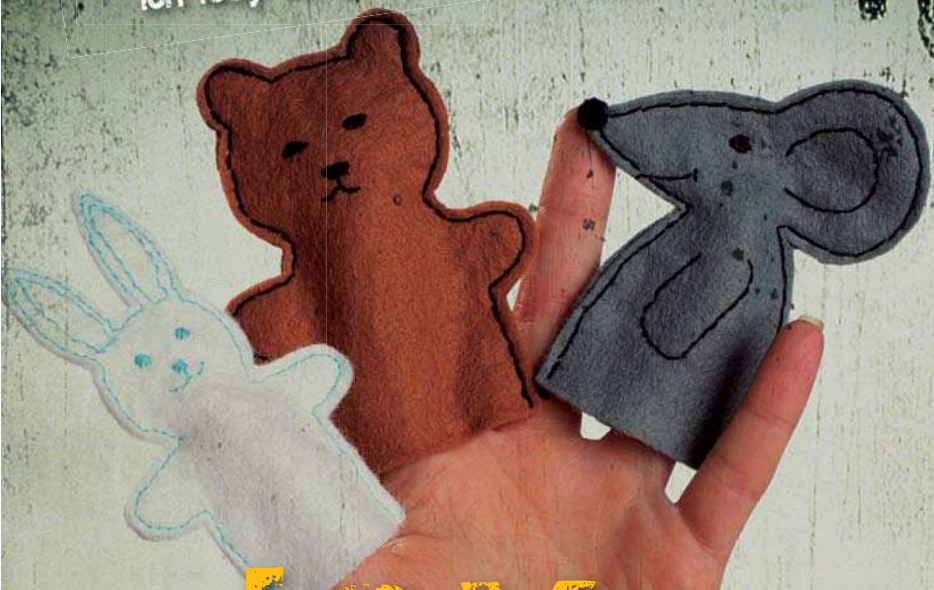


Niewinny zakład zmienił
ich losy na zawsze.



JOY FIELDING

STREFA
SZALEŃSTWA

Świat Książki

**STREFA
SZALEŃSTWA**

**JOY
FIELDING
STREFA
SZALEŃSTWA**

Z angielskiego przełożyła
Magdalena Słysz


Świat Książki

Tytuł oryginału
THE WILD ZONE

Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska

Redakcja merytoryczna
Ewa Borowiecka

Redakcja techniczna
Agnieszka Gąsior

Korekta
Marianna Filipkowska
Irena Kulczycka

Copyright © 2010 by Joy Fielding, Inc.
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o.
Warszawa 2011
Copyright © for the e-book edition by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2011

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Hankiewicza 2, 02-103 Warszawa

ISBN 978-83-247-2667-7
Nr 45106

Rodowi i Bessie

Podziękowania

Uważam się za szczęściarę, bo za każdym razem mogę podziękować mniej więcej tej samej grupie ludzi. To znaczy, że mam solidne wsparcie. Więc, jak zwykle, serdecznie dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobili i w dalszym ciągu robią: Larry'emu Mirkinowi, Beverley Slopen, Tracy Fisher, Elizabeth Reed, Emily Bestler, Sarah Branham, Judith Curr, Laurze Stern, Louise Burke, Davidowi Brownowi, Carole Schwindeller, Bradowi Martinowi, Mai Mavjee, Kristin Cochrane, Val Gow, Adrii Iwasutiak i wszystkim innym znakomitym pracownikom William Morris Agency i Atria Books ze Stanów Zjednoczonych oraz Doubleday z Kanady, którzy bardzo się starali, aby moje książki odniosły sukces. Składałam też podziękowania moim zagranicznym wydawcom i tłumaczom, a także najlepszej na świecie projektantce stron internetowych, Corinne Assayag.

Jestem szczególnie wdzięczna programiście i trenerowi osobistemu, Michaelowi Raphaelowi, który nie tylko przywraca mi formę dwa razy w tygodniu, ale zmusza do morderczych ćwiczeń, opisanych w powieści.

Jeśli chodzi o domowy front, dziękuję Aurorze Mendozie za to, że mnie karmi i opiekuje się mną. Dziękuję również mojemu mężowi, Warrenowi, za nieustającą zachętę i wsparcie, a także za to, że nie kręci nosem, gdy nadaję któremuś z negatywnych bohaterów jego imię. Składałam podziękowania mojej córce Shannon, za to, że: a) jest śliczna i zdolna,

b) administruje moimi stronami na Twitterze i Facebooku. Dziękuję mojej drugiej ślicznej i zdolnej córce, Annie, i jej mężowi, Courtneyowi, dzięki którym zostanę babcią w czasie, gdy będą Państwo czytać tę książkę. Jestem tym bardzo pod-ekscytowana i uradowana.

I w końcu, jak zwykle, dziękuję Wam, Czytelnicy; to dzięki Wam to wszystko jest warte zachodu.

1

Tak to się zaczęło.

Od dowcipu.

– Dobra, facet wchodzi do baru. – Jeff, chichocząc, przystąpił do opowieści. – Widzi gościa, który siedzi przy barze i z kwaśną miną popija drinka. Przed nim stoi butelka whiskey, a obok wznosi się wielka kupa błota. „Co tu się dzieje?” – pyta ten, który przyszedł. „Napij się” – proponuje facet przy barze. Gość bierze więc whiskey i chce sobie nalać, gdy nagle z butelki bucha dym i wyłania się dzinn. „Wypowiedz życzenie – mówi. – Dostaniesz wszystko, czego zapragniesz”. „Nic prostszego – odpowiada facet. – Chcę dziesięć milionów dolców”. Dzinn kiwa głową i znika w kolejnym obłoku dymu. W barze natychmiast pojawiają się miliony ciężkich stalowych bolców. „Co tu się dzieje, do cholery?! – pyta gniewnie przybysz. – Głuchy jesteś? Powiedziałem «dolców», nie «bolców»”. Patrzy pytająco na siedzącego obok. Ten wzrusza ramionami i ze smutkiem wskazuje na blocko. „A co? Myślałeś, że zażyczyłem sobie góry błota?”.

Po krótkiej chwili ciszy, gdy do wszystkich dotarła puenta, rozległ się śmiech. Dobrze charakteryzował trzech mężczyzn, siedzących po pracy w zatłoczonym barze. Jeff, trzydziestodwuletni, najstarszy z całej trójki, śmiał się najgłośniej. Jego śmiech, jak on sam, wydawał się zbyt potężny jak na tę małą salę, zagłuszał głośną rockową muzykę, dochodzącą ze starej szafy grającej, która stała przy wejściu, i odbijał się od długie-

go baru z gładkiego czarnego marmuru, grożąc wywróceniem stojących za nim delikatnych kieliszków i z biciem dużego lustra w szafce z szeregiem butelek. Śmiech jego przyjaciela Toma był niemal równie donośny i choć brakowało mu głębokiego brzmienia i swobody tamtego, rozbrzmiewał dłużej i odznaczał się różnymi ozdobnikami.

– Dobre! – wydusił z siebie Tom pomiędzy cichnącymi parsknięciami. – To było dobre.

Śmiech trzeciego z mężczyzn był bardziej powściągliwy, choć nie mniej szczerzy, a rozbawienie słuchacza wyrażały nie tylko pełne, niemal dziewczęce usta, ale też duże brązowe oczy. Will słyszał ten dowcip już wcześniej, z pięć lat wcześniej, kiedy był jeszcze onieśmielonym studenciakiem w Princeton, ale nigdy nie powiedziałby tego Jeffowi. Jeff zresztą opowiedział go lepiej. Brat większość rzeczy robi lepiej niż inni – pomyślał Will, dając Kristin znak, że proszą o jeszcze jedną kolejkę. Dziewczyna uśmiechnęła się i przerzuciła długie proste blond włosy z jednego ramienia na drugie, w sposób, jaki robią to śniade laski z South Beach. Will zaczął zastanawiać się jałowo, czy gest ten jest typowy tylko dla Miami, czy dla terenów południowych w ogóle. Nie przypominał sobie, żeby dziewczyny z New Jersey odrzucały włosy z taką częstotliwością i pewnością siebie jak tutejsze. Ale może był zbyt zajęty – albo zbyt nieśmiały – żeby zwrócić na to uwagę.

Patrzył, jak Kristin nalewa millera do trzech wysokich szklanek i wprawnie popycha je w szeregu po gładkiej powierzchni baru, pochylając się na tyle, by zebrani wokół mężczyźni mogli zerknąć w głęboki dekolt jej bluzki w panterze cętki. „Gdy zobaczą trochę ciała, od razu stają się hojniejsi” – wyznała poprzedniego dnia, gdy chwaliła się, że co wieczór wyciąga w napiwkach trzysta dolarów. Nieźle jak na barek rozmiarów Strefy Szaleństwa, w którym przy stolikach mogło usiąść wygodnie tylko czterdzieści osób, przy zawsze zaś tłoczonym barze – ze trzydzieści.

Wkroczyłeś do Strefy Szaleństwa – głosił pomarańczowy

neon, który błyskał prowokacyjnie nad lustrem. – *Przebywasz tu na własne ryzyko.*

Właściciel baru widział podobny neon przy florydzkiej autostradzie i uznał, że Strefa Szaleństwa będzie doskonałą nazwą dla ekskluzywnego baru, który zamierzał otworzyć przy Ocean Drive. Intuicja go nie zawiodła. Strefa Szaleństwa rozwarła dla gości swoje ciężkie stalowe drzwi w październiku, na samym początku ruchliwego zimowego sezonu w Miami, i po ośmiu miesiącach wciąż świetnie prosperowała, mimo że panował męczący upał, a większość turystów już wyjechała. Will uwielbiał tę nazwę, z jej złowieszczym podtekstem i nonszalancją. Przychodząc tu, czuł się trochę nierozważny. Uśmiechnął się teraz do brata, dziękując w ten sposób za zaproszenie.

Jeśli Jeff zauważył uśmiech Willa, nie dał tego po sobie poznać. Sięgnął ręką po nową szklankę piwa.

– A wy, pajace? O co poprosilibyście dzinna, gdyby miał spełnić jedno wasze życzenie? – spytał. – Ale to nie może być żaden szczytny cel, jak na przykład pokój na świecie czy zlikwidowanie głodu – dodał. – Wymyślcie coś osobistego. Dla siebie.

– Jak kupa złota czy penis o długości trzydziestu centymetrów – zauważył Tom, zdaniem Willa głośniej, niż było trzeba.

Kilku mężczyzn, którzy stali w najbliższym sąsiedztwie, obróciło się w ich stronę, chociaż udawali, że wcale nie słuchają.

– Ja już takiego mam – rzucił Jeff. Wypił jednym haustem połowę piwa i uśmiechnął się do rudej dziewczyny przy końcu baru.

– To fakt – potwierdził ze śmiechem Tom. – Widziałem pod prysznicem.

– Ale mógłbym poprosić o kilka centymetrów ekstra dla ciebie – ciągnął Jeff, a Tom zaśmiał się znowu, choć tym razem już nie tak głośno. – A ty, braciszku? Potrzebujesz pomocy dzinna?

– Nie, dziękuję, mam wszystko.

Mimo klimatyzacji Will zaczął się pocić pod niebieską koshulą i żeby powstrzymać rumieniec, wbił wzrok w duży zielony neon na przeciwległej ścianie, przedstawiający aligatora.

– Oj, chyba nie wprawilem cię z zakłopotanie, co? – drażnił się z nim Jeff. – Daj spokój, człowieku. Chłopak skończył filozofię na Harvardzie, a rumieni się jak panienka.

– W Princeton – poprawił go Will. – I jeszcze nie napisałem pracy.

Czuł, że rumieniec oblewa mu nie tylko policzki, ale też czoło, i był zadowolony, że w sali panuje półmrok. Powinienem wreszcie napisać tę głupią pracę – pomyślał.

– Odczep się od niego, Jeff – włączyła się Kristin zza baru. – Nie zwracaj na niego uwagi, Will. Czepia się jak zwykle.

– Chcesz powiedzieć, że rozmiar penisa nie ma znaczenia? – zapytał Jeff.

– Nie, chcę powiedzieć, że rozmiar penisa jest przeceniany – wyjaśniła.

Siedząca obok kobieta zaśmiała się.

– To nieprawda – powiedziała w głąb szklanki.

– No widzisz? – rzucił Jeff do Kristin. – Hej, Will! Mówiłem ci, że ja i Krissy zaliczyliśmy kiedyś trójką?

Will opuścił wzrok, mechanicznie przesunął nim po ciemnych dębowych deskach podłogowych oraz przeciwległej ścianie i zatrzymał go w końcu na dużej kolorowej fotografii, na której lew atakował gazelę. Nie przepadał za aluzjami seksualnymi, które Jeff i jego koledzy tak lubili. Muszę się do nich dopasować – pomyślał. A przede wszystkim odprężyć. Czy nie po to przyjechał do South Beach – żeby uciec od stresów związanych z uczelnią, znaleźć się w rzeczywistym świecie, odnowić stosunki ze starszym bratem, którego nie widział od lat?

– Chyba nie mówiłeś – odparł i zaśmiał się z przymusem. Żałował, że nie jest tak zaintrygowany, jak na to wskazywała jego mina.

– Chyba z Heather – dodała Kristin swobodnie, opierając ręce na biodrach w krótkiej i obcisłej czarnej spódniczce. Jeśli była zawstydzona, nie okazała tego. – Jeszcze po piwie?

– Wezmę, co dasz.

Kristin uśmiechnęła się porozumiewawczo, unosząc kąciki ust o kształcie łuku, i tym razem przerzuciła włosy z prawego ramienia na lewe. – Kolejka millera dla panów.

– Dobra dziewczynka. – W sali znowu zabrzmiał donośny śmiech Jeffa.

Przez grupę mężczyzn i kobiet skupionych przy barze przecisnęła się kobieta. Pod trzydziestkę, średniego wzrostu i trochę za szczupłą, miała sięgające do ramion ciemne włosy, które opadały jej na twarz. Ubrana była w czarne spodnie i białą bluzkę, z tych droższych. Will pomyślał, że to pewnie jedwab.

– Mogę prosić o martini z likierem z granatu?

– Już się robi – odparła Kristin.

– Nie ma pośpiechu. – Kobieta zatknęła kosmyk włosów za lewe ucho, odsłaniając delikatny kolczyk z perłą i profil, subtelny i ujmujący. – Siedzę tam. – Wskazała pusty stół w kącie, pod akwarelą, na której widniało stado szarżujących słońi.

– Co to jest, u licha, martini z likierem granatowym? – spytał Tom.

– Brzmi rewelacyjnie – zauważył Jeff.

– To całkiem niezłe. – Kristin zabrała pustą szklanekę, która stała przed nim, i postawiła na jej miejscu pełną.

– Mówisz? Dobra, no to spróbujmy. – Jeff machną ręką w powietrzu, pokazując, że zamówienie obejmuje Toma i Willa. – Stawiam dziesięć dolarów na tego, który pierwszy skończy to martini z likierem. Tylko bez krztuszenia się.

– Dobra – zgodził się od razu Tom.

– Zwariowałaś! – powiedział Will.

Jeff w odpowiedzi położył na barze banknot dziesięciodolarowy. Drugi chwilę później dołożył Tom. Obaj mężczyźni spojrzeli wyczekująco na Willa.

– Niech wam będzie – rzekł. Sięgnął do kieszeni szarych spodni i wyjął dwa banknoty pięciodolarowe.

Kristin przyglądała im się kątem oka, niosąc martini kobiecie, która siedziała przy stoliku w najdalszym kącie baru. Jeff, ubrany od stóp od głów w czerń, swój znak firmowy, był z nich trzech najprzystojniejszy, miał jakby rzeźbione rysy i kręcone jasne włosy, które na pewno rozjaśniał, choć nigdy go o to nie pytała. Często tracił panowanie nad sobą, przy czym nigdy nie wiadomo było, co wyprowadzi go z równowagi. W przeciwieństwie do Toma – pomyślała i przeniosła wzrok na chudego, ciemnowłosego mężczyznę w dżinsach i kraciastej koszuli, który stał po prawej stronie Jeffa. Tego wszystko potrafiło wkurzyć. Chodząca furia, o wzroście stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów; ciekawe, jak znosi to jego żona – zastanowiła się Kristin.

– To przez Afganistan – orzekła Lainey w poprzednim tygodniu, gdy Jeff raczył klientów baru opowieścią, jak Tom, rozwścieczony decyzją sędziego podczas meczu, wyciągnął pistolet zza pasa i strzelił w ekran nowiutkiego telewizora plazmowego, telewizora, na który nie było go stać i którego jeszcze nie spłacił. – Od czasu, gdy wrócił... – szepnęła przy wtórze śmiechów, które towarzyszyły anegdocie, ale nie dokończyła. Nie miało znaczenia, że Tom jest w domu już od pięciu lat.

Jeff i Tom przyjaźnili się od szkoły średniej, razem wstąpili do wojska i służyli w Afganistanie. Jeff wrócił do kraju jako bohater, Tom – okryty hańbą, bo zwolniono go ze służby za nieuzasadnione użycie przemocy wobec osoby cywilnej. To wszystko, co wiedziała o ich pobycie w wojsku Kristin. Ani Jeff, ani Tom nie lubili o tym mówić.

Postawiła różowe martini na okrągłym drewnianym stoliku przed ciemnowłosą kobietą, przyglądając się jej gładkiej, bladej cerze. Czyżby miała siniaka na policzku?

Kobieta podała jej zmięty banknot dwudziestodolarowy.

– Reszty nie trzeba – powiedziała cicho i odwróciła się, zanim Kristin zdążyła podziękować.

Dziewczyna szybko schowała pieniądze do kieszeni i wróciła za bar. Paski srebrnych sandałów na wysokich obcasach obcierały jej skórę na kostkach. Mężczyźni zakładali się teraz, który z nich najdłużej utrzyma orzeszek na nosie. W tej konkurencji bez problemu powinien wygrać Tom – pomyślała. Miał spłaszczony nos, podczas gdy Jeff – wąski i prosty, równie kształtny jak całe ciało, a Will – szerszy, z lekkim garbkiem, co jeszcze bardziej podkreślało jego bezbronność i delikatność. Delikatność? – zastanowiła się. – Pewnie odziedziczył ją po matce.

Jeff, przeciwnie, był kopią swojego ojca. Kristin wiedziała to, bo natknęła się na zdjęcie ich obu, kiedy sprzątała w komodzie w sypialni, niedługo po tym, jak się do niego wprowadziła, z rok wcześniej.

– Kto to? – zapytała wówczas, słysząc, że Jeff wszedł do pokoju, i wskazała krzepkiego mężczyznę o kręconych włosach i zawadiackim uśmiechu, obejmującego muskularnym ramieniem chłopca o poważnym wyrazie twarzy.

Jeff wyrwał jej zdjęcie i schował do szuflady.

– Co robisz? – zapytał.

– Próbuję znaleźć miejsce na swoje rzeczy – wyjaśniła. Zignorowała ton jego głosu, w którym zabrzmiało ostrzeżenie. – To ty z ojcem?

– Uhm.

– Tak pomyślałam. Jesteś do niego podobny.

– Matka też zawsze to mówiła. – Zasunął głośno szufladę i wyszedł.

– Ha, ha, wygrałem! – zawołał teraz Tom. Triumfalnie wzniosł pięść, gdy orzeszek, który Jeff usiłował utrzymać na nosie, spadł na podłogę, omijając usta i brodę.

– Hej, Kristin! – zwrócił się do niej Jeff napiętym głosem, który zdradzał, jak bardzo nie lubił przegrywać, nawet przy błahych okazjach. – Co z naszym martini z granatem?

– Z granatu – poprawił go Will i natychmiast tego pożałował. W oczach Jeffa zalśnił gniew przypominający błyskawicę.

– A w ogóle co to jest granat? – zapytał Tom.
– Taki czerwony owoc, z twardą skórką i mnóstwem nasion. Zawiera antyoksydanty – wyjaśniła Kristin. – Na pewno dobrze wam zrobi. – Postawiła na blacie pierwszego jasnoróżowego drinka.

Jeff uniósł kieliszek do nosa i powąchał podejrzliwie.

– Co to są „antyoksydanty”? – zapytał Willa Tom.

– Dlaczego pytasz jego? – warknął Jeff. – To filozof, nie naukowiec.

– Na zdrowie! – powiedziała Kristin, stawiając na kontuarze dwa następne kieliszki.

Jeff przytknął drinka do ust i czekał, aż Tom i Will zrobią to samo.

– Za zwycięzcę! – wznosił toast.

Wszyscy trzej odchylili głowy do tyłu i wypili alkohol, poruszając grdykami, jakby łapali powietrze.

– No i po sprawie! – zawołał Jeff. Triumfalnie postawił szklanekę na barze.

– Jezu, ale świństwo! – westchnął chwilę później Tom, krzywiąc się. – Jak ludzie mogą to pić?

– A tobie smakowało, braciszku? – zapytał Jeff, gdy Will przełknął ostatni łyk.

– Nie takie złe – odparł chłopak. Lubił, gdy Jeff mówił do niego „braciszku”, chociaż tak naprawdę byli tylko braćmi przyrodniymi. Mieli jednego ojca, lecz różne matki.

– Ale i nie za dobre – orzekł Jeff, puszcżając oko nie wiadomo do kogo.

– Jej najwyraźniej smakuje. – Tom wskazał głową brunetkę w kacie.

– Ciekawe, co jeszcze lubi – zastanowił się Jeff.

Will mimowolnie spojrział w smutne oczy kobiety. Widział – nawet z tej odległości i w tym świetle – że były smutne, bo kobieta oparła głowę o ścianę i patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Uzmysłował sobie, że jest jeszcze ładniejsza, niż mu się wydawało, choć miała dość konwencjonalną urodę. Nie była uderzająco piękna, jak Kristin ze swo-